

TAHITI I WYSPY POŁUDNIOWEGO PACYFIKU

Byliśmy drugim statkiem pod polską banderą, który zawiązał do Papeete na Tahiti w rejsie dookoła świata, w serwisie wysp południowego Pacyfiku. Była połowa lat 70. ubiegłego wieku, a ja cały w skowronkach. Kreślić kursy na mapach zrobionych przez odkrywcę tamtych akwenów, samego kapitana Jamesa Cooka, było dla mnie więcej niż radością. Mapy Admiralicji Brytyjskiej były standardowo używane przez polskie firmy żeglugowe, więc – chcąc nie chcąc – tylko na nich mogłem pracować. Wspaniałą rzeczą było uzmysłowienie sobie faktu, że te mapy przetrwały do lat 70. XX wieku praktycznie bez żadnych zmian. Były tak dokładne i precyzyjnie przygotowane, że nie trzeba było ich poprawiać od czasu, gdy powstały w latach 70. XVIII wieku! Na długo zanim wyszliśmy w rejs, czułem ten cudowny dreszczyk, który towarzyszy każdej niezwyklej wyprawie. Mieliśmy pójść śladami dawnych odkrywców, smyczyć po wyspach południowego Pacyfiku! To było rzeczywiście coś fantastycznego! I faktycznie było. Mniej lub bardziej pozytywne, ale bez wątpienia egzotyczne do potęgi.

Wybrałem się z kolegą Edkiem na dyskotekę w Papeete. Ceny były zabójcze – puszka piwa kosztowała 10 dolarów. Nasz dodatek dewizowy był wtedy poniżej 2 dolarów za każdy dzień spędzony poza krajem. Należało zgarnąć ewentualne dziewczyny z knajpy i zaholować je na statek, gdzie w mojej kabinie czekała flaszka whisky. Papeete – stolica i główny port Polinezji Francuskiej – to było miasto dla raczej bogatszych Francuzów. Polski marynarz odpadał w przedbiegach z uwagi na brak kasy. Dziewczyny, które zgarnęliśmy z knajpy, były piękne! Polinezyjska uroda w najwspanialszym wydaniu – zgrabne, długonogie, długowłose, w letnich minikieckach, bez żadnego makijażu. Kwiat hibiskusa wpięty w rozpuszczone włosy podkreślał ich naturalną urodę. Zwiewne, przyjazne, zawsze uśmiechnięte, delikatne, wspaniałe! Edek, który potrafił się

porozumieć po francusku, był z natury rzeczy kierownikiem tej wycieczki. Dziewczyny z radością przyjęły zaproszenie na statek i po godzinie spędzonej w kajpach ruszyliśmy taryfą do portu. Obawiałem się jednego – bramkarze w porcie mogli być mniej przyjaźni i robić problemy z wpuszczeniem gości na statek. W taryfie siedziałem obok kierowcy, odliczając kasę – ewentualną łapówkę za wpuszczenie pań do portu. Edek zagaszczał między pańkami na tylnym siedzeniu, dokonując dokładnej lustracji ich dolnych i górnych plomb, co wyraźnie mogłem obserwować w lusterku kierowcy. Bramkarze okazali się wspaniałymi kołesiami – nie zażądali łapówki za wpuszczenie dziewczyn do portu, śmiali się do nas serdecznie i szeroko otworzyli bramkę, gadając coś głośno po francusku, czego w ogóle nie rozumieliśmy. Myślałem sobie wówczas: „Co za wspaniały kraj! Raj na ziemi! *Friendly people*, brak korupcji, dziewczyny chętne i otwarte, wszystko jak z bajki, wszyscy szczęśliwi. To jest miejsce, gdzie chciałbym żyć aż do końca swoich dni!”.

Kilkanaście minut później byliśmy już na statku w kabinie. Flaszka Jasia i kielichy na stole, romantyczna muzyka z singapurskiego graja leci w tle, panny chcą się napić, brakuje tylko lodu. Ruszyłem więc do mesy kapitańskiej, by ukraść z pojemnika trochę lodu. Edek został w kabinie razem z dziewczynami. Kiedy po 10 minutach wróciłem z lodem do kabiny, zastałem coś, co mną wstrząsnęło. Muzyka już nie grała, Edek siedział załamany w kącie na taborecie, pańki szykowały się do wyjścia.

– Co się dzieje? – spytałem.

– *Take it easy and sit down*, bo inaczej dasz mordą w trociny – odparł Edek. – Niech to tałatajstwo spada jak najszybciej, bo inaczej wykopię je po trapie.

– Nie możesz wyrzucić naszych dziewcząt ze statku, są przecież naszymi gośćmi! – odparłem.

– Dziewczyny? Goście? Stuknij się w pałę! To są przebierańcy! Wypuściłem kapitana Paluszkiewicza jako zwiadowcę pod kieckę

jednej i drugiej i... obie mają fiuta! Obie to zresztą przyznały, że nie są dziewczynami. Fiuty małe, fakt, ale fiuty! A to, co powinno być u dziewczyny, to tak tylko w połowie albo jeszcze mniej. Ani baba to, ani chłop! Dziwolągi jakież! Ciesz się, bo gdybym tego nie sprawdził, to po butelce whiskacza mógłbyś w ogóle nie skumać, kochać się w nocy po grecku, a rano zmarzłbyś w stopy, gdy kołdra się podwinie, jak koleżanka dostanie erekcji...

Edek miał barwny język i był z tego znany. Cytuję go tutaj prawie dosłownie, bo uważam, że żaden opis nie oddałby lepiej dramaturgii tamtej sytuacji niż ekspresja Ediego. Był świetnym kumplem i marynarzem, odszedł na wieczną wachtę ponad 10 lat temu, dużo za wcześnie... Żyje jednak wciąż w naszych wspomnieniach z niepokornych lat młodości, a jego hasła i język funkcjonują do dziś w opowieściach ludzi morza mojego pokolenia.

W Papeete staliśmy prawie dwa tygodnie. Jednak trauma, jaka została po spotkaniu z hermafrodytami podczas pierwszej nocy, była tak silna, że obaj straciliśmy wszelką ochotę na flirtowanie z lokalnymi pannami. Żeglłowaliśmy dżubankami na sąsiednie przeurocze wyspy archipelagu, bardzo rzadko odwiedzane przez turystów i przez to nieskażone, nietknięte, naturalne w swym pięknie. Objechaliśmy Tahiti wynajętym samochodem kilka razy wszerz i wzdłuż, a raczej dookoła, bo tylko taka droga wzdłuż wybrzeża istniała. W domu-muzeum Gauguina gapiliśmy się godzinami na jego oryginalne obrazy, które wkrótce potem przeniesiono do Paryża i zastąpiono fatalnymi fotokopiami. Cały dzień spędziliśmy w Venus Point – obserwatorium kapitana Cooka, z którego w XVIII wieku namierzał on elongację Wenus, Marsa i Jowisza, by precyzyjnie określić długość geograficzną tego punktu, dzięki czemu jego mapy były tak dokładne, że nie wymagały poprawek przez ponad 200 lat. Było super, ale trauma została...

Cały czas gdzieś w tyle głowy miałem słowa mojej ówczesnej polskiej panienki, pisane na widokówce z hasłem „Bądź czujny!”, którą

agent przyniósł mi na statek zaraz po zacumowaniu w Papeete. Myślałem sobie, że wredne życzenia dziewczyny o czujności, a raczej jej braku, właśnie się spełniły. Nie byłem czujny, więc się naciąłem jak głupek... Tym większa była moja i Edka gorycz, że uważaliśmy się za starych wyżeraczy. Dziesiątki, jeśli nie setki razy potrafiliśmy odróżnić przebierańców w Bangkoku, Penangu, Kelangu, Indonezji... Tam był to standard. Jedna trzecia panien w knajpie przy porcie to byli przebrani faceci! Takich speców wyczuwało się na kilometr. Aż padło na Tahiti, gdzie marynarski nos i instynkt kompletnie nas zawiodły. Wstyd i tyle oraz nauczka na przyszłość... Jedynym usprawiedliwieniem braku czujności i żeglarskiego nosa może być to, że tu mieliśmy do czynienia raczej z ciekawostką przyrodniczą niż z przebierańcami. Hermafrodytyzm (obojnactwo) jest dość powszechnym zjawiskiem na wyspach Polinezji, o czym dowiedzieliśmy się już znacznie później ze źródeł naukowych.

Prawie trzy lata spędziłem, żeglując między wyspami południowego Pacyfiku. Na polskich statkach rotacja była prawie ta sama – z Europy przez Kanał Panamski do Papeete, dalej wyspy Tonga, Samoa, czasem Wyspy Gilberta, Vanuatu, Fidzi, Wyspy Salomona, Nowa Kaledonia, Papua-Nowa Gwinea, Nowa Zelandia i jakieś dwa lub trzy porty na wschodnim wybrzeżu Australii. Potem przelot do Singapuru, Hongkongu, portów Malezji i przez Kanał Sueski na Morze Śródziemne i do Europy. Pod obcą banderą było podobnie, choć z czasem odpadało coraz więcej tamtych egzotycznych portów. Kiedy już jako młody kapitan zawiąłem do jednego z portów Papui-Nowej Gwinei, w którym bywałem wcześniej pod polską banderą, spotkałem znajomego agenta. Przypomniął mi sobie natychmiast i wielce się ucieszył ze spotkania starego kolegi. Mieliśmy stać w porcie parę dni, podczas weekendu żadnej pracy nie było. Zdziwiło mnie, w jakim tempie mój znajomy agent odprawił statek, a zaraz potem powiedział:

– *Captain*, ja teraz idę do domu, ale wnet wrócę z żoną.

Nie było mi to zbyt na rękę, bo planowałem wyprawę do hotelu, jedyne miejsce skąd można było zadzwonić poza granice Papui, żeby porozmawiać z rodziną. Czekałem jednak cierpliwie na jego powrót z żoną.

Nie minęła godzina, kiedy oboje pojawili się na statku. Ubrani jakby odświętnie, mocno kolorowe spódniczki u niego i u niej, papuaskie tatuaże na twarzach podkreślone specjalnym make-upem, sporo ptasich piór we włosach żony, obydwójce oczywiście boso. Od początku podejrzewałem, że to mogło być ich jakieś święto lub rocznica, więc kucharz przygotował trochę ładnych kanapeczek, napoje zaś – wino, piwo i whisky – czekały w lodówce. Zamierzałem ich ugościć godnie, ale później pójść jednak do hotelu, żeby próbować zadzwonić do kraju. Spytałem delikatnie, jakaż to okazja jest powodem dzisiejszej uroczystości.

– Nie widzieliśmy się kilka lat – odparł agent. – Wówczas byłeś drugim oficerem, teraz jesteś kapitanem. Polubiłem cię od początku i lubię do dziś. Powiedz mi szczerze, czy podoba ci się moja żona?

– No jasne, że mi się podoba. Masz piękną i mądrą żonę – zapewniłem.

– To bardzo się cieszymy – odpowiedział agent. – Zaraz pojedziemy do nas i zostaniesz z nami parę dni, będziesz spał z moją żoną i uczynisz ją szczęśliwą, a ona ciebie. Ja będę jeszcze szczęśliwszy, że mamy takiego wiernego przyjaciela rodziny.

W tym momencie mnie zatkało. Słyszałem o podobnych zwyczajach eskimoskich, ale u Papuasów takiej maniany się nie spodziewałem. U Eskimosów nigdy nie byłem, z natury rzeczy unikałem chłodnych klimatów. Za to w tropiku czułem się zawsze cudownie! Ale żeby w tropiku spotkać eskimoskie zwyczaje, to już trzeba mieć prawdziwego pecha.

– Super – odparłem. – Dzięki za zaproszenie i propozycję, jestem zachwycony i niczego innego nie pragnę. Ale problem jest taki,

że z uwagi na sytuację w mojej firmie nie mogę opuścić statku ani na moment, bo w każdej chwili może przyjść teleks, że konkurencja przejmuje aktywa, a wtedy musiałbym natychmiast wyjść z portu i żeglować do Australii. Będę wówczas potrzebował twojej pomocy, by w ciągu kilku minut zorganizować *clearance*, holowniki i pilota, tak bym się mógł wydostać na pełne morze jak najszybciej.

Agent słuchał uważnie, przekazał to żonie w lokalnym narzeczu. Chwilę rozmawiali ze sobą podniesionym głosem, potem emocje z lekka opadły i agent powiedział:

– Moja żona i ja rozumiemy sytuację, którą opisałeś, chociaż żona mniej i dlatego jest bardziej rozczarowana. Ale ona nie zna tych wszystkich problemów, z jakimi spotyka się agent na co dzień. Przy trapie będzie stał biegle przez cały czas postoju statku, by w razie konieczności przekazać mi wiadomość, że musisz natychmiast uciekać z portu. Załatwię ci odprawę, pilota i holowniki w pół godziny, *if need be*, mam tu swoje układy od lat, a ty jesteś naszym przyjacielem.

Brakowało mi słów, by wyrazić mu moją wdzięczność. Podarowałem im dwie butelki whisky, zanim zeszli ze statku. Później firma pytała dociekliwie, czemu angażowałem dodatkowego *go-between* przez cały postój w porcie. Za taki ekstraserwis musieli zapłacić kilkakrotnie więcej. Wyjaśniłem, z dużym trudem, że sytuacja była naprawdę awaryjna i że właściwie nie miałem innego wyjścia. Oczywiście moje plany pójścia do hotelu i zatelefonowania stamtąd do domu spełzły na niczym. Przesiedziałem cały czas na statku, patrząc na bieglego Papuasa stojącego przy trapie, który czekał tylko na jedno moje skinienie, by śmigać do agenta i uruchamiać wymyślony przeze mnie awaryjny plan B.

Bywały również sportowe emocje. Polskie statki miały zawsze komplet piłkarskich strojów dla całej drużyny i firma była dumna, gdy polska załoga wygrała jakiś mecz z kimkolwiek. Często były to mecze rozgrywane z załogami innych statków i organizowane przez

Misje dla Marynarzy. Tym razem było trochę inaczej. Staliśmy w Port Vila, stolicy Vanuatu, trzy tygodnie minimum, żeby załadować kilka tysięcy ton kopry, czyli suszonego kokosa. Agent zasugerował, że istnieje możliwość rozrywki typu mecz piłkarski z miejscową drużyną na lokalnym, pełnowymiarowym stadionie. Mer miasta zorganizuje po meczu party dla załogi i zaproszonych gości, załoga wyłoni drużynę i wniesie trzy kartony piwa marki Żywiec, po 24 butelki w kartonie, jako wkład wspólny. Nagrodą dla zwycięskiej drużyny będzie karton dobrego whisky. Było o co grać! Wyłoniliśmy drużynę z ponad trzydziestoosobowej załogi, wzięliśmy od ochmistrza trzy kartony piwa i ruszyliśmy na mecz.

Na stadionie w stolicy Vanuatu byliśmy sporo przed czasem, więc drużyna dobrała się do piwa i kartony przyniesione przez nas na boisko po chwili były puste. W upale tropiku pragnienie było ogromne! Ochmistrz zorganizował dodatkową dostawę i trzy kolejne kartony zostały wypite w krótkim czasie. Prosił o więcej, ale ochmistrz był bez serca i nie dorzucił już ani butelki. Zaczął się mecz, graliśmy przeciw narodowej reprezentacji Vanuatu, bo lokalna drużyna z klubu w Port Vila stanowiła w stu procentach reprezentację kraju. Mecz był ciężki, bieganie w upale za piłką po wypiciu kilku piw było dla mnie i wielu kolegów prawdziwą masakrą. Ambicje poszły na bok, chęć zdobycia whisky odleciała w niebyt przy wyniku 0:10, a druga połowa była już tylko kopaniem leżącego. Przegraliśmy 1:18 i reprezentacja Vanuatu ze swoimi kibicami świętowała wielki dzień zwycięstwa! Było ogromne party w centrum miasta, były muzyka, tańce i śpiewy, polało się morze whisky i piwa, były przyjazne dusze i czekoladowe fanki footballu. Było super mimo porażki. Widać czasami lepiej przegrać, niż wygrać. Jak w *Misiu Barei*: „Z tobą przegrać to jak wygrać”.

W tamtej epoce, w latach 70. XX wieku, w żegludze liniowej, jaką uprawiały Polskie Linie Oceaniczne, dominowały statki zwane

drobnicowcami. Przewoziły rozmaite ładunki – palety, worki, beczki, skrzynie, kartony, bele bawełny, sizalu, kauczuku, produkty ze stali, lokomotywy – słowem prawie wszystko, czyli drobnicę. Postój w porcie był z reguły stosunkowo długi, najkrócej trwał parę dni, najczęściej były to dwa tygodnie – szczególnie w Australii, Nowej Zelandii, Indonezji oraz w większości portów na Dalekim Wschodzie. Nie było rzadkością przestać w porcie miesiąc lub dłużej, w Wietnamie to był raczej standard. Marynarstwo miało swój urok! Był czas na wszystko – poznawanie ludzi, zwiedzanie świata, dłuższe lub krótsze romanse lub miłości dla tych żeglarzy, którzy byli stanu wolnego. Dla nich (w tym i dla mnie), perspektywa rychłego powrotu do kraju po pięciu miesiącach lub więcej spędzonych wspaniale na antypodach wydawała się karą za wszystkie grzechy świata...

Zakochałem się w Dalekim Wschodzie, mając lat kilkanaście, kiedy brnąłem przez książki Josepha Conrada Korzeniowskiego. Gdy po raz pierwszy dotarłem tam na czwartym roku studiów, jako praktykant na pokładzie polskiego statku, wiedziałem, że dużą część życia spędzę w tamtej części świata, smycząc między wyspami Indonezji, zawijając do portów jakże innych od tych, w których cywilizacja zniszczyła doszczętnie całe ich naturalne piękno, spokój i niepowtarzalny klimat. Ta moja miłość trwa do dziś.